



BIUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.



FRYDERYK CHOPIN.

FRYDERYK CHOPIN.

(Z powodu 50-tej rocznicy zgonu).

Mikołaj Chopin, ojciec genialnego kompozytora, lubo francuz z pochodzenia, gdyż urodził się w Nancy, w Lotaryngii, przebywając od lat młodzieńczych w naszym kraju, nie tylko nauczył się polskiej mowy, ale w najgorętszych potrzebach kraju przy każdej sposobności udział przyjmował. Zmieniając coraz to inne zajęcia, osiadł w Żelazowej Woli, jako wychowawca Fryderyka Skarbka, znanego w literaturze naszej historyka czasów księstwa Warszawskiego.

Tutaj też nastąpiło poznanie z Justyną Krzyżanowską, przyszłą jego małżonką, a matką Fryderyka. Była to osoba wysoce utalentowana, muzykalna. Od roku 1810 zamieszkała w Warszawie, gdzie Mikołaj Chopin wykładał w Liceum Warszawskim język francuzki i utrzymywał pensjonat. W sympatycznym domu Chopinów gromadzili się artyści i uczeni, atmosfera więc, w jakiej znajdował się młody Fryderyk, była bardzo podatnym gruntem do rozwoju wrodzonych zdolności i upodobań chłopca, które z czasem tak wspaniale przejawiać się miały. Od lat najmłodszych zdradzał Fryderyk wielki talent i chęć do muzyki, wcześniej też go zaczęto uczyć gry na fortepianie. Licząc zaledwie ośm lat wieku, musiano o nim mówić, jako o cudownym dziecku. Pierwszy publiczny występ malca odbył się na cel dobroczynny i odtąd zaczęto go zapraszać do najznakomitszych domów stolicy, gdzie zachwycono się precydną jego grą. Rozsądni jednak rodzice jego, w dbałości o przyszły los syna, nie ograniczali się jednostronnem kształceniem go w muzyce. Gdy skończył lat trzynaście oddano go do Liceum, gdzie zdał do 4 ej klasy.

Okazało się, że zdolności Chopina nie były jednostronne i że, równie jak w muzyce, szybkie czynił postępy w naukach, w Liceum wykładanych. Jakkolwiek rzadko kiedy brał książkę do ręki, swej ulubionej muzyce oddany, nigdy prawie nie przynosił złych stopni, a w końcu roku przechodził do klasy następnej z nagrodą. Uspokojenie miał żywe, wesołe, skłonność do figlów i zabaw. Mało komu może wiadomem, że posiadał upodobania literackie i w 1824 roku na imieniny ojca napisał do spółki z siostrą komedijkę i do tego jeszcze mową rymowaną.

Tymczasem postępy jego w muzyce były tak szybkie, że kierunek pierwszego nauczyciela jego, czechu Żywnego, już wystarczyć nie mógł; począł też uczęszczać młody Chopin do konserwatorium, gdzie znalazł znakomitego nauczyciela w Elsnerze.

Ten ostatni żywił specjalne zamiłowanie motywów ludowych pieśni polskich i okoliczność ta nie mogła pozostać bez wpływu na rodzaj twórczości jego ucznia. Jako kompozytor wystąpił po raz pierwszy Fryderyk Chopin w 1824 roku, kiedy to ukazało się jego *Opus I, Rondo C-moll*, dedykowane pani Linde, żonie rektora Liceum, a wydane przez księgarza Brzezinę. Coraz starszym będąc, coraz więcej oddawał się Chopin swej umiłowanej sztuce, zwolna też porzucał suche nauki, wykładane w Liceum i w r. 1827, lubo otrzymał świadectwo z ukończenia szkoły, ale już bez odznaczenia. Opuściwszy szkoły, czas jakiś spędził na wsi w rozmaitych częściach kraju, dokąd go serdecznie zapraszano, poczem osiadł znowu w Warszawie, cały pogrążywszy się w kompozycjach. W końcu 1828 roku znajdujemy Fryderyka Chopina, jako 18 to letniego młodzieńca, w Berlinie. Tam zachwycał się dziełami Spontiniego, Zeltera, Mendelschona, a na posiedzeniu jakimś znajdował się w towarzystwie tych kompozytorów, ale, jak sam się przyznaje „nie śmiał się im rekomendować.“

W powrotnej do kraju z Berlina drodze zawadził o Poznań, gdzie w domu ks. Radziwiłła

dał koncert wobec audytoryum złożonego z wybranych przedstawicieli miejscowej inteligencji. Rok następny przynosi dwa ważniejsze fakty w życiu Chopina: pierwszą miłość jego ku panie Konstancyi Gładkowskiej, uczennicy konserwatorium warszawskiego, oraz wycieczkę do Wiednia. Ta pierwsza miłość Chopina z początku była całkiem idealną, kochał się, nie znając nawet osobiście swej wybranej, nie śmiejąc zapoznać się z nią...

Przybywszy przez Kraków do Wiednia, został przyjęty entuzjastycznie i zachęcony tem przyjęciem wystąpił z dwoma koncertami w Kärntnerhofteatrze w połowie sierpnia 1829 r. Występy te przedstawiły go wiedeńczykom, jako mistrza w dziedzinie muzycznej, znawcy głosili jego tryumf, publiczność przyjmowała owacyjnie. W parę dni potem opuścił Wiedeń i via Praga, Toeplitz i Dreźnie powrócił w połowie września do kraju. Teraz zaczęły się napady spleenu i melancholii, wywołane uczuciem ku pannie Gładkowskiej, które mu się głębokoko do serca wżarło, a z którym krył się, jak skąpiec ze skarbem.

Nie siedział długo na jednym miejscu i już w końcu października udał się w Poznańskie a następnie do Antonina, rezydencji ks. Radziwiłła. Po powrocie do Warszawy zaczął myśleć o wycieczce za granicę do Włoch i Paryża. W celu zebrania odpowiednich środków postanowił wystąpić z koncertem.

Jakoż odbyły się one, przepelniając salę Teatru Narodowego, w połowie marca 1830 r. Odkładając z dnia na dzień wyjazd zagranicę, gdyż nawet myśl o nim ciężkim mu się kamieniem na serce kładła, dzięki coraz to silniejszemu uczuciu dla panny Gładkowskiej, która już teraz taką samą wzajemnością mu płaciła, spędził czas w teatrze, gdzie ideał jego świecił w operze istotne tryumfy. Nareszcie uroczyste pożegnany przez Warszawę na uczcie publicznej, przez kolegów i uczniów konserwatorium pod dowództwem Elsnera na Woli kantatą uroczystą, z pierścionkiem panny Konstancyi na palcu, wzruszony, spłakany, opuścił Fryderyk Chopin ziemię ojczyzną 2 listopada 1830 roku...

Odtąd datuje się drugi obraz żywota genialnego kompozytora, na tułaczce spędzony, splatający się w koronę, w której choć kwiatów nie brakło, ale były ciernie krwawo raniące blade skronie mistrza. Po krótkim pobycie we Wrocławiu udał się do Wiednia, gdzie wiódł życie towarzyskie, przeważnie w kołach polskich lub wśród tamtejszych muzyków. Osiadłszy w Wiedniu, stracił dobry humor, myśl o kraju i o drogich mu istotach, od których był zdaleka, trapiła jego serce. Z drugiej znów strony krecia robota miejscowych muzyków, którzy rozpoczęli przeciw niemu intrygi, czując groźnego rywala w genialnym przybyszu zniechęciła go do wszelkiej akcyi, usunął się z widowni, ku czemu jeszcze się przyczyniało ówczesne położenie polityczne kraju. Znekany tem wszystkim rzucił Wiedeń i wyjechał do Monachium, z kąd po paru tygodniach udał się do Stuttgartu. Straszne wieści z kraju otrzymane, wprawiły go w stan rozpaczki beznadziejnej. Niemając z kim podzielić swych cierpień, miotany najgorszymi przeczuciami — zaklął w dźwięki echo swych bólów serdecznych tworząc genialne *Preludium Nr. 24*.

W ostatnich dniach września znalazł się Fryderyk Chopin nad Sekwaną w stolicy Francyi. Tutaj cały utonął w muzyce, sam komponował, grał i rad słuchał innych, zaprzyjaźnił się z takimi mistrzami, jak Liszt, Mendelsohn, oraz wirtuoz Kalkbrenner, dla którego miał podziw niezwykły. Chętnie też bywał w operze, posiadającej na ten czas znakomitych artystów a dyrektora w osobie Rossiniego.

Paryż powitał naszego geniusza nie zbyt gościnnie. Nie wiedzano jeszcze o nim. Pierwszy koncert pod względem materyalnym zrobił fiasco. Chopin znalazł się w bardzo krytycznem położeniu; dotkliwy brak środków wywołał w nim zamiar powrotu do kraju. I byłby zamiar ten skutecznym, gdyby nie spotkał na

swej drodze Radziwiłła, a ten nie zaproponował mu wizyty u Rotschilda. Po wieczorze tym, na którym wszystkich oczarował grą znakomitą i cudowną improwizacją, położenie jego nagle się zmieniło. Wprowadzony do paru arystokratycznych domów — stał się odrazu „modnym“ i zaproszenia na lekcyje, jedne za drugimi otrzymywane, pozwoliły mu nie troszczyć o kwestyę pieniężną. Wkrótce nietylko miał być zapewniony, ale począł prowadzić życie na stopę wielkoświatową. Przeniósł się ze swego dawnego mieszkania na ulicę *Chaussée d'Antin* gdzie zajął lokal wspaniały, umeblowany nader wytwornie. Przedstawiciele sztuki gromadzili się tutaj w osobach takich geniuszów, jak Mickiewicz, Bohdan Zaleski, Liszt, Heine, Meyerber, wspomniani już Kalkbrenner i Rossini *et caetera*. Sam Chopin począł bywać w najarystokratyczniejszych domach, gdzie go przyjmowano z najwyższą serdecznością i należnym hołdem. Nie zaniedbywał jednak ukochanej swej sztuki, przyjmował udział w licznych koncertach, dając poznać zawsze entuzjastycznie dlań usposobionym słuchaczom coraz to nowe kompozycye. W lecie 1835 roku udał się Chopin do Karlsbadu, gdzie wówczas bawili jego rodzice. Na jesieni, gdy rodzice udali się z powrotem do Warszawy, Fryderyk Chopin pojechał do Dreźnie i zastał tam już państwa Wodzińskich, bawiących z córką u swego kuzyna wojewody. Tutaj na seryo począł się skłaniać ku pannie Maryi Wodzińskiej, która ze swej strony bynajmniej nie ukrywała swych ku niemu uczuć serdecznych. W chwili pożegnania rozmarzony pieśniarz zaimprovizował cudnego walcu F-moll, którego po powrocie do Paryża przepisał i posłał do Stuzewa z dedykacją pour M-lle Marie. Odtąd marzył już tylko o ożenieniu się z Maryą; o powrocie do kraju i cichem życiu na łonie rodzinem. W lecie roku następnego udał się do Marienbadu, gdzie znalazł, jak dawniej, kochające go namiętne serce.

Oświadczył się, został przyjęty i począł pędzić błogi żywot najszczęśliwszego z narzeczonych. Niedługo jednak trwały te rozkoszne chwile. Nadszedł czas rozstania, a później rozpoczęło się dla Chopina życie ciężkie, pełne cierni i głogów. Zimę źle przepędził, zapadając na zdrowiu i tęskniąc za ukochaną. Wtem bez żadnych wstępów, otrzymał wieść, która go zraniła w samo serce: ojciec panny Maryi stanowczo nie zezwalał na ślub swej córki z nim, mając dla niej „lepszą i odpowiedniejszą partytę.“ Rozpacz i boleść jego nie miały granic, bo uczucie dla Maryi w sercu jego zapuściło głębokie korzenie. Przyjaciele, bolejąc nad jego stanem, namówili go na wycieczkę do Londynu, myśląc, że się rozerwie i łatwiej swe nie szczęście przeboleje. Nie pomogło to jednak. Powrócił z podróży na powrót do Paryża chory ciałem, a bardziej jeszcze złamany na duszy. Dla poprawienia sił steranych lekarze wysłali go na Majorę.

Tu zawiązał się serdeczny stosunek między nim i panią Aurorą Dudevant, znaną w literaturze pod pseudonimem Georges Sand. Niezwykle utalentowana ta kobieta, odznaczająca się przytem, według świadectwa współczesnych, niepospolitą urodą, przywiązała do siebie znekanego tyłu przejściami Chopina tak, że, po powrocie do Nohan, zamieszkała już razem. Tutaj, dzięki usilnej opiece doktora Papeta, stan jego zdrowia znacznie się poprawił, a z nim razem powrócił dobry humor. Pomyślna ta okoliczność odbiła się dodatnio i na jego twórczości. Tworzył masę doskonałych rzeczy, które chętnych znajdowały wydawców, więc zarabiał dużo, bo drogo sobie za swe dzieła płacić kazał. I płacono chętnie. Pomimo to skarżył się na wyżytek księgarzy, wymyślał różnym wydawcom. Do tego okresu jego twórczości należą *Sonata Si bemoll minore, Marsz żałobny*, oraz cały szereg *Nocturnów* i *Mazurków*. Wiele czasu poświęcał zajęciom towarzyskim i korespondencyi z przyjaciółmi paryskimi.

Wreszcie na jesieni zdecydował się powrócić do Paryża. Wyjazd nastąpił w listopadzie. Zamieszkał oddzielnie, ale w blizkiem sąsiedztwie

z panią Sand i rozpoczął znowu dawanie lekcy, w chwilach wolnych od przesiadywania u swej ukochanej, gdzie stołował się stale. Koncertował tu Chopin, jak dawniej, wkrótce jednak coraz bardziej a bardziej zaczął upadać na duchu, a powodem tej zmiany w jego stanie była zmiana stosunku do niego pani Sand. Wynajdywała ona najróżnorodniejsze środki, aby zerwać ciężyący jej stosunek, ale nie odnosiło to pożądanego skutku, gdyż Chopin, zamykając w sobie wszystkie cierpienia, za nic w świecie nie chciał zerwania. Istnieje pewne zresztą przypuszczenie, że w romansie swym *Lukrecya Floriani* ośmieszyła Georges Sand swego kochanka w osobie księcia Karola. Zniósł i ten cios pokornie, nie będąc w stanie pomyśleć nawet o rozłące z tą, którą ukochał całą siłą swej chorej duszy. Narazie, gdy różne przykrości, wynikłe z powodu niefortunnego małżeństwa córki pani Sand, przepełniły miarę goryczy i cierpliwości—nastąpiło zerwanie i rozstali się na zawsze.

Ostatni ten zawód moralny podkopał ostatecznie jego zdrowie, stargał siły. Pomału dał się znowu nakłonić do bywania w salonach, więcej z przyzwyczajenia niż potrzeby, ale ciągle myślał o wyjeździe do Londynu, aby zerwać raz na zawsze z bolesnymi dla niezagojonego serca wspomnieniami. W lutym 1848 roku wystąpił ze wspaniałą uczcą duchową, przyjmując udział, w koncercie, w którym miał za współwykonawców Antoninę di Mondy, Rogera, Aulari'ego i de Garaudé. Sam tak był przybity i wyczerpany niedawnymi wypadkami, że grał bardzo cicho, a po koncercie siły ostatecznie go opuściły i zemdlął, schodząc z estrady. Na wiosnę był już w Londynie. I tutaj nie mógł uwolnić się od licznych zaproszeń do najpierwszych domów stolicy, przedstawiany był nawet królowej Wiktorji, a wszędzie grać musiał, budząc zachwyt niezmienny. Tutaj też znalazł nową sympatyę swoją śpiewaczkę szwedzką Jenny Lind, z którą łączyła go przyjaźń szczerą, z jej strony stopniowo przeradzającą się w gorętsze uczucie miłości. Miał też tu biedny pieśniarz chwile lepsze, wolne choć w części od zgrzytów i cierpień moralnych. Ale wogóle pesymizm coraz głębiej wżerał mu się w duszę i chore piersi coraz częściej jęk podnosił. Do tego czasu odnosił się wycieczka Chopina do Szkocji, gdzie znowu, znalazłszy oddane sobie i wielbiące go serca, odżył na chwilę, wpadając w lepsze usposobienie. Wracały na czas jakiś siły, a z nimi humor i zamilowanie do sztuki. Po koncercie w Edyburgu, który był dlań jedną nieprzerwaną owacją tryumfalną, powrócił do Paryża. Przybyła do jego mieszkania Jenny Lind zastała go ogromnie zmienionym. Choroba położyła już na jego czole wyraźne piętno, śmierć przeglądała z poza zmęczonych powiek. Za radą lekarzy i przyjaciół zamieszkał w dali od miejskiego środowiska, w ogrodzie przy Rue Chaillot. Nie mogło to już na wiele się przydać.

Coraz nowe komplikacje przykuły go do łóża boleści, z którego już powstać nie mógł. W nocy z dnia 16 na 17 października umarł, przemęczywszy się dni parę w powolnej agonii, podczas której otaczali go najczulszą opieką jego zagraniczni przyjaciele i siostra przybyła z kraju na wiadomość o zbliżającym się zgonie wielkiego muzyka. Do łóża konającego przybyły też jego serdeczne przyjaciółki, jako to: pani Clesinger, księżna Marcelina, O'Meara, pani Sand i Delfina Potocka. Wszystkie pisma francuskie, angielskie i niemieckie pomieściły obszernie artykuły z powodu jego zgonu, pełne uwielbienia dla zgasłego geniusza pieśni. Pogrzeb, który się odbył 30 października, zgromadził nieprzeliczone tłumy ludzi. Ciało mistrza spoczęło na cmentarzu paryskim, serce, pełne zawsze za życia swojskich pieśni, znajduje się zamkniętym w urnie w lewej ścianie głównej nawy kościoła Świętego Krzyża w Warszawie. Spełniono w ten sposób prośbę naszego genialnego pieśniarza, który chociaż nosił obce nazwisko, z krwi i kości był najprawdziwszym, całym sercem mu oddanym, synem naszego kraju. Złożył tego najlepsze dowody w swych utwo-

rach, gdzie brzmi niezmiennie ta swojska nuta, echo łąk, gór i lasów naszych, która tak czaruje nie tylko nas, ale wszystkich, kto cudne melodye jego pieśni zrozumieć i odczuć potrafi.

Piotr Gmielewski.

Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

X.

Krytyka romantyzmu przez romantyka.

W pięć lat po wyśpiewaniu przez Mochnackiego wspaniałego peanu na cześć romantyczności polskiej, ukazała się surowa jej krytyka i to nie ze stanowiska pseudoklasycznego, tylko ludowo-narodowego. Autorem jej był twórca „Zamku Kaniowskiego” i „Sobótki”, gorący ludowiec od samego niemal początku zawodu swego, Seweryn Goszczyński (1801†1876). Po r. 1831 przebywał on w Galicyi, przenosząc się z miejsca na miejsce, zapuszczając się w Beskidy i Tatry, żyjąc z góralami, zapoznając się z kółkiem młodych poetów czerwono-ruskich, w gronie których umocnił się w swoim przeświadczeniu o potrzebie poezji rodzimej, na uczuciach i wyobrażeniach ludu opartej, a dopełnionej i rozszerzonej znajomością twórców wyobrażeń wszystkich plemion słowiańskich. Z tego punktu widzenia skreślił on swój pogląd na znaczenie i wartość poezji naszej, zwanej romantyczną i ogłosił go w miesięczniku, wydawanym od kwietnia 1835 roku w Krakowie: „Powszechny pamiętnik nauk i umiejętności”. Ogłosił go bezimiennie, nadając rozprawie swojej tytuł: „Nowa epoka poezji polskiej”. Rzecz ta miała rozgłos ogromny i w 15 lat potem była prawie w całości przedrukowana przy drugim wydaniu dziełka Jana Majorkiewicza: „Historja, literatura i krytyka” (Warszawa 1850).

Stosunek swej rozprawy do dziełka „O literaturze polskiej w wieku XIX” określił Goszczyński następującymi słowami: „Mochnacki, według swego zamierzenia, pokazał nam jedynie dobrą stronę polskiej literatury, utworzył arystokrację, że tak powiem, polskich poetów, nie troszcząc się o resztę. Systematu jego nie można ganić, ale go można nie przyjąć, i z pobudek równie ważnych, jak były pisarza o literaturze polskiej. Codzień słyszymy, codzień się przekonywamy, że oprócz wymienionych przez Mochnackiego, naród nasz ma więcej poetów, których czyta, których uwielbia i kocha. W tym względzie uległem powszechnej opinii, nie potrafię tem wzgardzić, co ona szacuje, ani obojętnie pominać, co ją zająć zdołało, a nadewszystko potakiwać milczeniem jej błędom. Wszakże niechaj nikt nie mniema, jakobym miał jedynie na celu dopełniać dzieło Mochnackiego; spodziewam się, że daleki od chęci oryginalności tam, gdzieby jej prócz chęci nie nie usprawiedliwiło, nie zostanę nigdzie jego powtarzaczem; najpewniej, że nasze pisma oprócz przedmiotu, w niczem się nie zetkną ze sobą; mojem tylko będzie moje przekonanie, bom się po nie do własnej duszy zapuszczał; moim będzie sąd o pisarzach polskich, bom go oparł na zasadach z tego przekonania wywiedzionych”.

I dotrzymał przyrzeczenia. Jego zdania o poetach naszych z onego czasu noszą na sobie tak wybitną cechę odrębności, że ich z żadnymi innymi zestawiać niepodobna. W ich wypowiedzianiu, liczył się on jak sam powiada, z opinią publiczną, ale jej bynajmniej nie ulegał; opierał je wszystkie na pewnych zasadach, wyrażonych w obszernym wstępie do przeglądu twórczości poszczególnych poetów.

Ażeby zasady te we właściwym ukazały się świetle, musimy poznać pogląd Goszczyńskiego na poezję i jej znaczenie. Nie dochodził on istoty poezji i natchnienia, sądził bowiem, że to przechodzić może ludzką; ale starał się wskazać, czem jest poezja dla ludzkości w ogóle, a dla narodów poszczególnie. Posłuchajmy jego pięknych słów: „Najpierwsza piastunka i nauczycielka narodów, mądrość z natchnienia, filozofia filozofii, towarzysząca prostemu jak przyroda pieśniami bytowi człowieka, od rozwinięcia mu życia w kolebce, aż do ukolysania śmiertelnością w grobie i przecucie zaziemskiego bytu; piętno duchowe na doczesnych przedmiotach, dla upiększenia i razem dla okazania znikomej ich wartości; miłość najczystsza, język wiary, duch niewidomy prorokujący o bóstwie i najwznioślejsza, najrzeczywistsza prawda, odziana tajemniczością i urokiem niebieskiego początku, dotykana prawie, a prztem niepojęta: oto jest drobna cząstka z szeregu tych postaci, pod którymi poezja objawia się światu, w których przeznaczono myśli ludzkiej wiecznie ją zgadywać i nigdy nie pojąć. Inaczej mówiąc, „poezja jest to strefa niewidzialna pomiędzy materją i duchem, w której spływa się i łączy ze sobą wszystko, co tylko w duszy ludzkiej może być zmysłowego, a w zmysłowych przedmiotach—ulotnego i czystego jak dusza; poezja jestto żywioł istoty anielskiej, rozlany we wszystkim, cokolwiek wyszło z rąk Twórcy, na znak przymierza między nim a stworzeniem”. Poezję wszyscy odczuwają, ale tylko niektórzy umieją „postrzedz jej żywioł tak wyraźnie, ująć tak silnie, aby go innym objawić”; są to poeci, będący takimi samymi przewodnikami żywiołowej siły moralnej, jak są przewodniki ciepła, elektryczności, magnetyzmu. „W poetę spływają się niejako myśli wszelkich istot, tak organicznych jak nieorganicznych, jednym słowem, myśli całego stworzenia; albo inaczej, dusza poety porozumiewa się bezpośrednio z ich duszami, o których reszta ludzi domyśla się tylko przez pewną, niepojętą sympatyę, póki ich pośrednictwo poety wyraźniej uczuć nie da”. Poezja nie może być ani prostą rozrywką, ani jakimś zbytkiem, lecz potrzebą życia, szlachetniejszą o tyle od potrzeb zmysłowych, o ile dusza szlachetniejsza jest od ciała. W pieśniach poetów — mówi Goszczyński — widzę nie chęć naśladowania dźwięków lub obrazów zmysłowej przyrody, nie potrzebę chwilowego wynurzenia chwilowych wrażeń, ale konieczność daleko nieprzepartszą, dążność daleko szlachetniejszą, a obie wypływające z istoty człowieka, uważanego jako dziecię boskie i cząstka nieśmiertelności; obie zgodniejsze z jego całym życiem, z jego chęciami, nadzieją i wiarą; w krótszych słowach: konieczność i dążność przetworzenia w nieśmiertelność wszystkiego, co go napęłnia i otacza; inaczej, popęd zachowania bytu w najszlachetniejszej cząstce człowieka, na drodze najszlachetniejszej, w myślach na drodze myśli, tworzy objawianie poezji, czyli poetów”. A zatem utwory poetyckie „nie są indywidualnym poświęceniem indywidualnych uczuć, ale wcieleniami boskich prawd, których mąż natchniony jest składem i częstokroć ślepem narzędziem; są olbrzymiami runami”) najwyższej mądrości, posuwającej ludzkość nieznanie, zwolna, ale wciąż do celów jej bytu, do najwyższego udoskonalenia, dotykając ogniwami łańcucha oświaty przedłużającego się z postępem czasu, wskazówką drogi ubieżanej po przeszłości i jej kierunku w przyszłość”. Stąd poezja jest „konieczna w życiu ludzkości, a interes dla niej—nie chwilowe spóścucie indywidualnych wrażeń, ale widzenie w zachwyceniu owego światła, które ku bóstwu prowadzi”.

Tak uważana poezja powinna być jedną na całym świecie, uniwersalną, jak żywioł duchowy, co stanowi jej podstawę; jakimże więc sposobem uzasadnić istnienie różnych poezji narodowych? Goszczyński, chcąc dać te uzasadnie-

*) To jest wyroczniami (runa skandynawska jest literą, i zarazem tajemniczym znakiem bogów, przepowiednią.

nie wyróżnia poezję „objawiającą“ i „objawioną“ czyli inaczej twórczość samą w sobie i kształty zewnętrzne jakie przybiera. Poezja jako siła tworząca poetów „jest to samo, co dusza nie wcielona jeszcze w rodzaj ludzki, jest całością, w której równie jak w duszy, nie potrafimy wyobrazić żadnych podziałów, żadnych odmiennych względem siebie części“. Poezja zaś jako objawienie w kształtach zmysłowych jest jak dusza ciałem ludzkim odziana, robi więc w pewnej części poświęcenie z niebieskich swoich przymiotów, przemienia się niejako na własność materii, poddaje się jej ustawom i płynie potokiem ludzkości, którego falami jest nieskończona kształtów przemienność. Jak dusze jednostek, mające ze sobą pokrewieństwo, wytwarzają powoli odrębne narody przez skupienie ciał, tak i poezja, „towarzyszka, powiernica, sługa duszy, nagina się do każdego jej ruchu, dla porozumienia jej z ciałem, przydaje urodzie swojej ozdoby najlepiej przypadające do smaku masie, na którą ma działać, wchodzi z nią w bliższy coraz stosunek i ścisła się niejako wewnątrz jej, umyka od zewnętrznych jej kresów i coraz dobitniej powstaje w wielką oddzielną część poezyjnej całości — w poezję narodową“. Język, kształt wiersza, układ zewnętrzny wyrazów, słowem tak zwany przez Goszczyńskiego „styl zewnętrzny“ — to strona cielesna poezji: moc natchnienia, barwa myśli, przedmiot, cel i warunki moralne, czyli „styl wewnętrzny“ — to strona duchowa. Obie te strony muszą nosić na sobie cechę danego narodu, jeżeli poezja ma być naprawdę narodową. Najłatwiej to okazać na języku, będącym „najwymowniejszą, najjaśniejszą historią stosunków, które wiążą człowieka z przyrodą, w obrębie jego bytu zawartą“. Wyrazy mogą być martwe; są one takimi, „kiedy wymieniają rzeczy nieznanym ludowi, kiedy uczucie nie spotyka w ich dźwięku uczuć tajemniczego pokrewieństwa z ich twórcami, kiedy mi nie malują przyrody, w której znam odwieczną piastunkę mojego plemienia, kiedy mi nie malują życia narodu, którego harmonijną częścią jest życie moje, jednym słowem, kiedy nie są ojcyste i o rzeczach ojczystych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA WERENDZIE.

(POGAWĘDKA).

Dobro, prawda i piękno—to sny najpiękniejsze ze wszystkich snów ludzkich. Gdyby się wcielić mogły i rządy swoje nad światem objąć, spłynęłoby Królestwo Boże na ziemię, spełniłyby się marzenia, które od wieków są tylko marzeniami, światem, nie wiedząc jak, wylęglym w duchu ludzkim i w pierśi człowieczej zaklętym. Praca, mająca dobro rozszerzyć, prawdę dobyć, piękno ująć—trwa od wieków. Ludzkość nie wątpi o zwycięztwie; dzień każdy pozostawia następcy swojemu niespełnione przez siebie zadanie, trwa jeden, nieprzerwany szereg spadkobierców, trwa aż do dni naszych i po ich przejściu trwać będzie. Coś z postawionych zadań spełniło się; złagodniały obyczaje, mówią nawet, że i serca wyszlachetniały odrobina, wiemy zaś tylko, że wystrzyły się rozumy, ujarzmiły ślepe siły przyrody i do posłuchu woli swojej zmusiły.

Na tem polu otrzymaliśmy zwycięztwo niewątpliwe.

— A miłosierdzie?—ktoś zapyta—ten najpiękniejszy kwiat wyszlachetnionych uczuć ludzkich?

— Tak! mamy szpitale, domy przytułku, schroniska dla bied przetrząsanych, dla kalek tak fizycznych jak i moralnych. Postęp jest—nikt temu zaprzeczyć nie może.

Ale oto mamy dwie linie, biegnące obok siebie równolegle, może zresztą o tak małym skrzywieniu, że najbystrzejsze oko nie dostrzeże ich punktu zetknięcia się w najodleglejszej przyszłości, zetknięcia się, po którym nastąpiłoby zlanie się owych prądów wrogich sobie, ostateczna walka tych przeciwieństw, pochłonięcie zła przez dobro i już nurt jeden o przezroczystości kryształowej w niezmierzoną dal płynący.

Przypatrując się różnym instytucjom ludzkim, przypatrując się prawodawstwu, kodeksom moralnym tak w życiu publicznym jak prywatnym—widzimy rozwój dobra, opiekę silnych nad słabszymi, pracę zacnych nad podniesieniem występnych, wysiłek rozumnych, by możliwe szczęście ludzkości zapewnić. I oto jest pierwsza linia, po której płynie postęp, na której końcu świeci klasycznym słonecznym ideałem prawdy, dobra i piękna.

Wierzylibyśmy w szybszy przynajmniej postęp ludzkości ku temu bóstwu, gdyby jednocześnie to, co jest z niem w przeciwieństwie, malało, usuwało się, i nikło, choćby ze zgrzytem walki rozpaczliwej, choćby z buntem krwawym przeciwko zwycięzcy podniesionym, usuwającym mu z pod nóg oparcie.

Ale tak nie jest.

Obok wspaniałego rydwanu prawdy, toczy się jednocześnie pyszny wóz kłamstwa; obok majestatycznej świątyni miłosierdzia staje gmach wielki bezprawia i krzywdy ludzkiej; wzmogło się dobro lecz spotężniało zło w dwójnasób, w oblicze piękna patrzy bezczelnie twarz brzydoty, czynom zacnym przeciwstawiają się wnet postępy ohydne, szlachetnemu głosowi protestu odpowiada śmiech piekającej ironii—dwie szale nie wahają się już nawet, równowagę zlamana, przeważa szala podłości, okryta szatą obłudy, złoty piasek sypiąca światu w oczy.

— Czyż nie jest pięknem oburzenie niemal świata całego przeciw Francji za potępienie niewinnego człowieka, za niepoprawienie przez sąd nowy błędu dawnego?—Ale dla czego świat ten milczy, gdy popełniają się codziennie czyny bezprawia w państwie „bojącem się tylko Boga“—czyny, nie już dotyczące się jednego człowieka, lecz paru milionów ludzi, którym prawo jawne światu, gwarantowało opiekę? Czyn piękny oburzenia, w zestawieniu z tym drugim faktem, staje się potwornym kłamstwem, obłudą ohydą, urągówiskiem prawdzie, jakąś grozą zawieszoną nad dobrem świata.

A oto fakt drugi, doniosłości wielkiej, któremu przykładał się ze wszystkich krańców ziemi: kongres pokoju w Hadze.

Zdawało się, że ciężkie brzemie spadło z pierśi ludzkiej, gdy przedstawiciele mocarstw cywilizowanej Europy zbrali się na obrady, powołani głosem miłości.

— I co?

— Z pięknej idei postawionego zadania liche pozostały okruchy. Wolno i nadal zabijać ludzi, jeno straszliwe kule „dum-dum“ rozwijające się w ciele ludzkim w kształt kwiatu lilii białej — powinny być z działań wojennych usunięte, wolno jednak tych lilii używać „w walce z krajowcami“. Zawarowała to sobie szlachetna Anglia;—widocznie, że „krajowcy“ mniej są na ból czuli. Postanowił także kongres pokoju, że niektóre zatargi między państwami powinien sąd polubowny rozstrzygać—wyrok jednego nieobowiązującego rozstrzygnięcia i wolną jej pozostawia rękę. Mimo to wszystko początek zrobiono; skoszlawiono, co prawda, ideę piękną, ale początek zawsze jest trudny, później lepiej pójdzie.

I poszło.

Mała rzeczpospolita Transwaalska zaczęta została przez lwa brytańskiego. Powołując się na kongres pokoju, napastowane państewko chciało sprawę swoją pod sąd polubowny mocarstw oddać. Ale John Bull skompromitować się nie chciał, przytrzymując się zaś zawarowanych przez siebie praw na kongresie—wysłał statki wojenne, wiozące kule-lilje.

Ta, rozpoczęta już walka mocarstwa angielskiego z małąką rzeczpospolitą, czy nie jest urągówiskiem ze wszystkich praw boskich i lud-

kich? Jeżeli się jeszcze sprawdzą, półgębkiem rzucone przez dzienniki polityczne, wiadomości o przyobiecanych kompensatach państwu różnym, dla kupienia ich neutralności, jakiś smutek niezmierzony ogarnia serce.

Jeśli wiek dziewiętnasty, nazwany został wiekiem wynalazków, nie będzie mu można odmówić i nazwy obłudy. Jeśli w wielu wypadkach dobro wzrosło—w dwójnasób zło się powiększyło. Jawne barbarzyństwo wieków średnich ustąpiło miejsca innemu barbarzyństwu: nie pała już na stosach, lecz przypiekają igielkami drobnymi; dręczenie fizyczne złagodniało—moralne zwiększyło się. Dawnych konwulsjonistów i biczowników zastąpili ludzie smutni. A od smutnych trudno spodziewać się czynów, choćby szalonych. To też widzimy wszędzie małość, małość i małość—obniżający się poziom świata, ten punkt, przerywany czasami krzykiem z powodu zmyru pierś dławiącej.

Jednak, kto żyć pragnie, nie wolno temu smutkowi się poddawać. Każda walka ma urok, a życie czyż nie jest walką? Na cieniach wielkich dojrzałe światło malutkie, napęla nas otuchą—światelkiem tem jest czyn zacny, choćby jednostki, choćby skromnej zakonnicy w Fryburgu, o której czytamy w dziennikach słowa następujące:

Urodzona w Kaliskiem. w r. 1829, była córką Maryana Kamockiego i Emilii Tomaszewiczowej. Po śmierci matki mała Józefa Kamocka, wychowywała się w Galicyi, w domu dziadostwa, który opuściła, by w młodym wieku poświęcić się służbie bożej i usługom dla cierpiących i biednych. Wstąpiła do zakonu Sióstr Miłosierdzia, w którym lat pięćdziesiąt przeżyła, oddalona od ziemi ojczyznej. Początkowo polem jej pracy była Francja, później, przeniósłszy się do Szwajcaryi, ś. p. Kamocka stanęła na czele instytucji, rozległej zakresem pracy i działania, choć więcej niż skromnej co do zapewnienia środków bytu. Tu rozwinęła swoją gorliwość, swój nieoszacowany dar organizacyjny i swoją energję. Niemal z niczego umiała stworzyć kilka wielkich zakładów: szpital, ochronę, dom sierot, pracownię, szkoły, dom starców, liczne osobne pomoce i stowarzyszenia katolickie i t. d. starając się do końca swojego życia o utrzymanie ich, jak i o wzorowy porządek. Było coś niezwykłego w tem—czytamy dalej—jak co rok dokupowano domy i rozszerzano zakres instytucji dla starców i dzieci, jak nie mając stałych dochodów, umiała zapewnić opiekę setkom nieszczęśliwych i wydziedziczonych. I oto ś. p. Kamocka stała się dobrodziejką kantonu i miasta Fryburga, których ludność umiała też ją cenić. To też po śmierci zakonnicy, dzienniki miejscowe poświęciły jej wspomnienie rzewne, a pogrzeb zamienił się w wielką manifestację publicznej czci i wdzięczności. W posłudze ostatniej wzięło udział duchowieństwo całe z dygnitarzami kościelnymi na czele, szkoły i niezliczony zastęp publiczności. Zwłoki zasłużonej zakonnicy, której życie było jednym pasmem pracy, poświęcenia i dobrych uczynków, złożono w krypcie dawnego kościoła Lignorianów, oddanego obecnie na użytek Sióstr Miłosierdzia.

I porównać teraz to życie zaparcia się, pracy około kolenia ran nieszczęśliwego z działalnością straszliwych kul „dum-dum“, niosącemi rany śmiertelne. Jedna cicha i skromna istota niesie życie tysiącom, a tam państwo potężne tysiącom śmierć niesie. Jeżeli być musi na świecie zło—to role zmienić się powinny: jednostka wynaturzona może czyn zbrodniczy popełnić, człowiek zbiorowy—dbać o dobro świata powinien.

Ze smutnych jednak rozmyślań do weselszych przedmiotów przejdziemy, i—zabawiwszy chwilowo we Fryburgu, wrócimy do naszej Warszawy, do tego serca naszego, które tętnem rozmaitem bije, stosując się do ogólnego pulsu świata. Towarzyszcie więc mi w małej wycieczce za rogatki mokotowskie...

— Na wyścięgi?

— Ach, nie! nie z tym sportem wielkopańskim wspólnego nie mam; wiem, że tam konie ganiają, że ludziska zgrywają się w totalizatora, ale jak

ten teren zabawy błahej i gry bezmyślnej wygląda—wielkiego nie mam wyobrażenia.

— Zatem?

W dniu 8 b. m. za rogatkami temi odbyła się uroczystość założenia kamienia węgielnego i poświęcenia instytucji dobroczynnej: gmachu schroniska dla sierot dziewcząt. Z biegiem czasu, potrzeby się zwiększyły, pomieszczenie dla sierot w gmachu Towarzystwa Dobroczynności przy Krakowskim-Przedmieściu stało się niewygodnym i niewystarczającym. Towarzystwo Dobroczynności wznosi więc gmach nowy, dla pomieszczenia wychowanek swoich.

— Nowa siedziba mieści się przy ulicy Rakowieckiej, po lewej stronie, w odległości wiorsty od rogatki mokotowskiej, a pół wiorsty od szosy grójeckiej. Tam to w dniu wyżej wspomnianym, zebrało się liczne grono osób najbliższej interesujących się losami zakładu. Celebrował osobie J. E. arcybiskup warszawski w towarzystwie kapelana swojego ks. Tymienieckiego, przy licznych udziałach duchowieństwa i osób świeckich. J. E. ks. arcybiskupa powitało u wrót budowy prezydium Towarzystwa Dobroczynności duchowieństwo, oraz dziewczątka sypiące kwiaty pod nogi dostojnikom Kościoła, przy śpiewie chóralnym: „Witaj Pasterzu”. Po poświęceniu kamienia arcybiskup przemówił z tronu, podnosząc działalność najstarszej instytucji dobroczynnej, oraz błogosławiąc pracy i zabiegom tych, którym nowy gmach zawdzięczać będzie powstanie swoje. Arcypasterzowi odpowiedział wiceprezes Towarzystwa p. Krzeczowski, a następnie zabrali głos prezes zarządu, adw. przys. Adolf Suligowski: Z pięknej jego mowy przytaczamy ustęp jeden:

„Naokoło nas wśród uboższych warstw społecznych, gdzie choroby są trudniejsze do przeniesienia, a śmierć obfite zbiera żniwo, przybyszą coraz to nowe sieroty, bez opieki i pomocy, bez poparcia i ochrony. I stają na tym szerokim świecie, słabe, bezdomne i bezbronne istoty, wystawione na wszelkie wichury i zawieruchy, — stają, gdyby ptaki, opuszczone przez rodziców, zgola jeszcze do trudu i walk życiowych nie zdolne.

Słyszymy o okropnych zdzieleniach, o zbrodniach i występkach, ale jakże często źródło złego wynika ze smutnej sierociej doli?”

Na tych słowach zatrzymujemy się.

Zdziwienie działy błakającej się na ulicach miasta uderza w oczy każdego niemal przechodnia. Nierozumem możemy tłumaczyć śmiech działy i naigrawania się obłąkańca z naprzykład wałęsającego się po miejskich zakątkach, choć stan nieszczęśliwego powinien być litostwo wzbudzać, ale znów wiadomą jest rzeczą, że nie masz okrutniejszych tyranów nad dzieci. Tłumaczmy śmiech nierozumny i drwiny, ale jak wytłumażyć ciskanie kamieniami, zadawanie bolesnych ran, tej przyjemności w pastwieniu się nad bezbronnymi? Któż nie widział tłoku tych małych przy każdym zatrzymaniu się karetki pogotowia, niosącej ratunek potrzebującemu; któż nie słyszał ich wrzasków i gwizdów, szykanowania lekarza i chorego? Patrzącemu się zdaje, że tłum zwierzątek drapieżnych o ludzkich kształtach tylko, zbiegł ze wszystkich zakątków ulic. Ani śladu litostwo niedojrzysz w nich, ani śladu wzruszenia, że—ktoś cierpi. Gdy wzrosną w tej przedwczesnej nieczułości, bo lata dopiero cierpienia i zawady czule serca w kamień przemienić mogą—czem staną się? Czy zadowolą ich ciężka praca, czy wzdrygną się na myśl nieuczciwego postępków? Bez skrupułu sięgną ręką po własność cudzą, a gdy ręka przeciwnika okaże się czujna bez skrupułu pałką w łeb trzaskną, dla zdobycia grosza, by zaspokoić potrzeby zwierzęce na dziś tylko, a jutro—o, jutro już ta pałka tembardziej nie odmówi posłuszeństwa.

Zgroza przejmują na myśl samą, ile to społeczeństwo traci pracowników dobrych, ile mu przybysza złodziei i zbrodniarzy.

Tego rodzaju przytulki, o jakich wyżej wspomnieliśmy, uczciwa opieka nad nimi i kierownictwo rozumne, mogą choć w części zagoić bolesną ranę. Piękne są pomniki sławy, lecz potrzebniejsze zakłady wychowawcze i przytul-

ki, to też słusznie mówca rzekł dalej: że „wspaniałe gmachy budzą podziw i zachwyt, lecz obok nich niemniej ważne miejsce (rzekłbym: ważniejsze!) zajmują i przybytki dla ratowania ludzkich jestestw, dla krzewienia w młodzieńczych duszach cnót i przymiotów, dla hartowania ich serc i charakterów, dla tworzenia z nich dobrych i uczciwych ludzi.”

Mówiąc jednak o tych dzieciach ulicy, z prawdziwą przykrością zwrócić się musimy do publiczności warszawskiej, która w wielu wypadkach daje dowód zaniku najwzyczajniejszej przyzwoitości a nawet — wybaczenie wyrażeniu się — daje dowód zdziwienia pewnego. O braku tej przyzwoitości możemy się przekonać codziennie, ilekroć dobroczynna karetka pogotowia zatrzyma się przed chorym. Wnet tłum się zbiera — dlaczego? Czy dla niesienia pomocy lekarzowi, który tej pomocy nie potrzebuje? Co sprowadza ten tłum, stanowiący przeszkodę tylko dla ratujących?

Ciekawość — nie, nie innego, jak tylko bezmyślna ciekawość. Mniejsza zresztą o nią, gdyby nie ten brak samowiedzy, że w podobnych wypadkach to gapienie się tłumu jest wprost żenujące dla chorego, że to pchanie się, to zazieranie przez ramię, częstokroć robione na głos uwagi — sprawiają niewymowną przykrość ofierze nieszczęścia. A czyż samo poczucie delikatności nie kazałoby usunąć się surdutowym nieraz tłumom? czy żaden z tych „przyzwoitych“ gapiów, nie może siebie w miejsce potrzebującego ratunku postawić i odczuć w ten sposób niewłaściwość swojego postępków? — Czegoż tutaj potrzeba? Odrobiny wychowania i nie więcej.

Tę nieprzyzwoitość surdutowego tłumu widzimy codziennie — ale niedawno mieliśmy dowody zdziwienia.

Było to w Saskim ogrodzie, na wielkiej zabawie, urządzonej na dochód Pogotowia ratunkowego. Do kosztów szczęścia nie zbliżano się, nie pchano się, lecz zdobywano je szturmem, jak gdyby rzeczywiste te kosze szczęścia jakieś *szczęście* zawierały — a tymczasem przynęta były — koń i para wieprzaków. — Atak do tego rogu obfitości, posiadającego takie skarby był wprost tatarski jakiś — i to z dawnych czasów tatarski. Szarpano się, wydzierano bilety, wyracano stoły, tak, że niewiasty, sprzedające losy szczęścia, musiały uciekać pod osłoną płci silnej, która ostatecznie także ustąpiła placu, pożądanemu konia i wieprzaków ludkowi. Z uboższymi patrząc na ten tłum dążący dokądeś, walczący o coś, zdawało mi się, że widzę roje żebraków wyciągających dłonie po datkę. Mimowolnie rumieńce wstydu natwarz mi wybiegły i ruchem węzowym wysunąłem się z Ogrodu pełen niezadowolonego upokorzenia.

Myślałem, że w pogawędce dzisiejszej, będę mógł słów parę powiedzieć o wystawieniu w teatrze Nowym sławnego Cyrana de Bergerac, który zajmie miejsce po „Zaczarowanym kole“ p. Rydla. Ale wszelkie nowości u nas odleżać się muszą, bądź to z przyczyny braku dekoracji czy strojów damskich, bądź z winy aktorów, jak chcą niektórzy, dość opieszale uczących się ról swoich.

Czy dzieło Rostanda będzie miało powodzenie u nas—przesądzać trudno. Podczas przedstawień letnich widzieliśmy Bergerac’a granego przez trupe łódzką w Bagateli ale to „arcydzieło“ dziwnie zbladło i niecieszyło się spodziewanem powodzeniem.

W teatrze Nowym rolę tytułową wzięli na siebie Frenkiel i Żelazowski na przemianę. Trudny będzie sąd o tych dwóch mistrzach sztuki dramatycznej, i zdaje nam się, że żaden z nich palmy pierwszeństwa nie otrzyma, otrzymają ją obaj w mierze równej, bo znając ich grę mistrzowską i umiejętne zrozumienie rzeczy — każdy z nich rycerskiego warchoła na swój odegra sposób, a każdy dobrze.

Ale nie uprzedzamy wypadków.

Wspomniawszy jednak o teatrze zatrzymajmy się chwilę przy nim i powiedzmy słów parę o tajemnym towarzystwie „klakierów“, które czyn-

ność swoją coraz bezczelniej zaznaczać poczyną.

Pastwą tej zgrai stają się artyści opery, szczególnie cudzoziemcy, lękający się o powodzenie pierwszych występów swoich. Datkiem dziesięciu rubli (trzech najmniej) okupują się od sykań galeryi, przepełnionej wyrostkami, należącymi do stowarzyszenia klakierów. Nie tylko pocztą miejską przychodzą do śpiewaków i śpiewaczek listy z żądaniem wypłacenia ustanowionej kwoty, ale nawet w upatrzonych godzinach, w mieszkaniu artysty lub artystki pojawia się sobie pan taki od klaki i ofiaruje im swoje usługi za kwotę żadaną, w razie przeciwnym grozi najbezczelniej wygwizdaniem w teatrze. Obcy przybysz z nad Adygi lub Sekwany, nieznający stosunków miejscowych, jest najświętszego przekonania, że stanął przed nim członek, aczkolwiek nie prawego lecz silnego stowarzyszenia, mogący mu wpłynąć swoim zaszkodzić. Nie chcąc więc powodzenia swego na szwank narażać, opłaca się tym bezczelnikom, którzy ośmieleni powodzeniem, coraz bezczelniej zaczynają rzemiosło swoje uprawiać. Jacy to zaś ludzie należą do tego stowarzyszenia, podajemy list dosłowny, który jedna z primadon naszego teatru otrzymała.

„Szanowna Pani

Podam do nużek łaskawej pani i proszę pani na występ dzisiejszy z powodu zbraknienczenia funduszu. Ja jako klakier za pomocą 3 takich klakierów chcemy koniecznie być z powodu że pani ma dziś główną rolę, całując rączki łaskawej pani.

„I mam nadzieję że łaskawa pani nie da daremnie skąpomiotowacz a zatem proszę łaskawej pani o odpowiedź i przysłać pszez tego rudego hłopaka a zatem adie nieh pani Pan Bóg da pomoc szczęśliwie odegrać Rigoleta. Amen.

Adie kochanej i łaskawej Pani.”

Artyści nasi umieją odparować tego rodzaju natrętników, ale cudzoziemcy ich ofiarą się stają. Powinni jednak dowiedzieć się przez kogo są napastowani—a w razie skandalu w teatrze, jest już rzeczą publiczności i stróżów porządku dać ostrą naukę owym członkom szlachetnego stowarzyszenia. Tylko zło ubić w zarodku, nie po naszymu, którzy zwykle lubimy zjadać muśzardę po obiedzie.

??

ROMANCA.

Nim słońko zajaśniało,
Z sercem przeszytem strzałą,
Z zamikłą lutnią w rękę,
Bez skarg, bez jęku,
Padł pieśniarz..

Wtem ozwie się szum w lesie—
Czy burzę wicher niesie?
Nie! To z za drzew, ścieżyną,
Płyną, a płyną
Mar tłumy...

Ze mgły ich strój bogaty;
We włosach wonne kwiaty;
Wre żarem każde łono,
A oczy płoną,
By gwiazdy.

— To wy, w omdleniu wdycha
Pieśniarza pamięć cicha...
— Wy, ból mój, me rozkosze,
Które unoszę
Z tej ziemi.

„Choć śmierć mą pierś ogarnie,
Wasz czar nie prysnie marnie.
I tam mnie on oplecie
W ciernie i kwiecie
Tęsknoty.

„I będą z za mogiły
Jak upiór się wznosiły
Na białych skrzydłach pienia
Moje pragnienia
Bezsilne...”

A widma tłumy rzeszą
Wciąż naprzód spieszą, spieszą
I szumiąc naksztalt strugi
Orszak ich długi
Uchodzi...

St. Rossowski.

BEZ TYTUŁU.

Powieść współczesna

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Wszakże, gdy tamten wyszedł, Władysław oddał się cały czarnym myślom. Przez te dwa dni tak się już był zżył z nadzieją pracy i rozpoczęcia nowego życia, z takim wstrętem poczuł już spoglądać na ostatnie miesiące, że powrócił teraz do dawnego życia, przeżywać znów dnie ciche, bezmyślne i głupie wydało mu się rzeczą okropną i gorszą niemal, niż śmierć. Upadł na łóżko, założył rękę pod głowę i tak przeleżał w jakimś odrętwieniu parę godzin, bez wszelkich już pragnień i woli. Ocknął się, gdy już głęboki zmierzch zaległ pokój. Z każdego kąta zaczęły wychylać się — niby widma ohydne — pustka, nuda i czerzość, i zaczęły rozpierać się w jego duszy. Zerwał się na nogi, czując, że jeżeli pozostanie dłużej w pokoju, to chyba oszaleje. Nałożył palto, wziął kapelusz i wyszedł na ulicę. Chciał się rzucić w wir, w zgiełk, w zamęt, przepędzić w odurzeniu choćby całą noc, byle otrząsnąć się z tej pogłębiającej martwoty, która wypełniała całą jego istotę. Pragnął towarzystwa jaknajliczniejszego, najgwarniejszego — przecież uciekł od samotności i pustki, która w tej chwili była dla niego wprost zabijającą. — Zatrzymał się na ulicy: dokąd pójść? Było jeszcze wcześnie, w knajpie mógł nie zastać jeszcze nikogo ze znajomych.

— Pójdę po Henryka i innych — powiedział sobie.

Henryka zastał w domu; byli u niego dwaj inni prawnicy; wszyscy trzej siedzieli przy stole, przeglądając jakieś akta.

— Cóż to? nie myślicie dziś wyjść z domu? zapytał po przywitaniu.

Henryk spojrział na przyjaciół:

— Nie wiem — mieliśmy trochę zajęć. Każmierzowi powierzono jakąś dość zawiłą sprawę, chcieliśmy więc ją razem przejrzeć.

— A ja zaszedłem po was, może byśmy gdzie razem spędzili wieczór. Cóż — zgoda?...

— Trzy dni już nie byłem w żadnej knajpie, czy uwierzysz? zapytał Henryk z komicznym westchnieniem — ale jestem zupełnie bez money — dodał ciszej.

— Ej, głupstwo! rzekł Władysław.

— Cóż to? funda?

— Niech będzie funda — tylko już chodźmy.

I wszyscy trzej wyszli na miasto.

— Wartoby zajść po Tadeusza — odezwał się któryś z nich.

— Tadeusz będzie o dziesiątej u Wróbla, mówił mi, więc napewno tam go spotkamy.

— A więc do Wróbla.

Zajęli w bocznym pokoju osobny stół i Władysław kazał podać tymczasem zakąskę i piwo. Wkrótce nadszedł Tadeusz, humory stawały się coraz lepsze, poczęto głośno rozprawać, śmiać się i żartować.

— Uważacie-no, wołał Henryk — jak to ten nasz Władek się zmienił: dawniej bywało, to go za nie do knajpy nie wyciągniesz z domu, a teraz zrobił się całkiem porządny chłop! i do bitki i wypitki!...

— Przeszedłem całkiem już na waszą wiarę — nieprawda? rzekł Władysław jakimś dziwnym głosem.

— Ale wyglądasz dziś coś jak desperat — zauważył śmiejąc się Tadeusz.

W istocie na twarz Władysławowi wystąpiły rumieńce, włosy miał na głowie zwichszone, oczy pałały mu jakimś gorączkowym blaskiem.

Pił na umór, aby się odurzyć, zapomnieć i nie myśleć o niczem.

Po północy zaczęto zamykać restaurację. Goście powynosili się, zostali tylko młodzi prawnicy.

— Cóż — i nam już chyba pora — odezwał się Tadeusz.

Lecz Władysławowi na myśl o tem, że powróci do swojej posępnej, samotnej celi, gdzie go obsiedały dawne troski i nowe wyrzuty, dreszcz przebiegł po piersi. Był podniecony i nie usnął by wcale.

— Wcześniej jeszcze, rzekł do towarzyszków — chodźmy szukać innej knajpy.

Wyszli na puste już i ciemne ulice, szukając jaśniejszego światła, które by wskazywało otwartą gdzie jeszcze knajpkę.

— Ot tam się jeszcze świeci — rzekł Henryk, wskazując płonąca latarnię.

Weszli — i rozpoczęli biesiadę na nowo.

Gdy wyszli, już świtać poczynąło. Pożegnali się — i Władysław skierował się ku domowi.

Zdjął kapelusz, pragnąc ochłodzić nieco rozpalone czoło. Podniecenie zwolna przeszło, a natomiast coraz bardziej dawało się uczuwać fizyczne znużenie. Szedł tak ulicą, w dziwnym jakimś ucisku wewnętrznym i odrętwieniu. Miał wrażenie, że dusza jego, niedawno rozwichszona, wpada teraz — niby morze po szalonej burzy — w jakąś bezwładność. Nie była to wszakże cisza — która koi, ani spokój, która daje spoczynek, — lecz niby jakaś obumarłość, uciążliwa i straszna, jakaś nicość, która jednak tłoczy i gnębi.

A tymczasem budził się świt pogodnego dnia marcowego. W powietrzu było już czuć nieuchwytny oddech wiosenny. W dalekiej perspektywie, która otwierała się z głębi ulicy, widać było oddalony nieboskłon, zaróżowiony jutrzienką, która zapalała się zwolna — młoda i czysta — niby uśmiech na twarzy dziewczęcej.

A jemu — niewiadomo skąd — przypominał się naraz uśmiechnięty świt po owej zabawie w Zamiechówce, przypominały się zaróżowione w tym świetle obszerne pola, i srebrzące się drzewa staro sadu — i cały świat tamtych wspomnień — czystych i cudnych — ocknął się naraz w jego duszy, a był on taki jasny i piękny, że wśród tej jego nędzy obecnej wydał mu się wprost niby anielskie zjawienie. I nagle schwycił go straszny ucisk i żal, — żal niezmierny i nieukojonny — żal za tamtą szczęśliwą dobą jego życia, żal za jasnym ideałem młodości, który on oto teraz dobrowolnie kala i poniewiera.

Więc ocknęło się w jego młodej piersi potężne pragnienie tego ideału, pragnienie zdobycia go — przez wszelki wysiłek, przez wszelki ból...

Długo tak jeszcze chodził po rannych, nie zaludnionych ulicach, przeżywając w duszy powtórnie wszystkie obrazy swojego życia.

Gdy wrócił do mieszkania, był już zupełny dzień. Ogarnęło go ogromne znużenie i potrzeba spoczynku. Zapaścił roletę, aby niedopuszczyć

jasności dziennej do pokoju, rzucił się na łóżko i wkrótce wpadł w niespokojny gorączkowy sen.

I oto śniło się mu, że leży w pośród jakiejś przestrzeni ruchliwej i grząskiej, niby w pośród niezmiernej kałuży czy topieli, w której kisiły pełno jakichś rzeczy ohydnych i śliskich. I oto czuje, że ta topiel wciąga go w siebie coraz bardziej, że zapada i tonie w niej coraz głębiej, bez mocy podźwignienia się i ratunku. Zdaje mu się, że czyni rozpaczliwe wysiłki i ruchy, lecz za każdym z nich grzęźnie coraz głębiej, zaś ohydna powierzchnia sięga coraz wyżej, obejmując już jego pierś, szyję, ściska go i pozbawia tchu.

A on, tonąc, czuje z początku nieprzewidywany wstręt ku tej ohydzie, która go obejmuje zewsząd, a potem przychodzi zgroza, potem szalony strach, a potem dzika, okropna rozpacz, rozpacz tak straszna, że z jego przytłumionej piersi wyrывa się przeraźliwy krzyk, podobny do wycia potępieńców...

A tymczasem widzi oto, że tam — w górze, wysoko po nad nim — rozciąga się cichy, słodki błękit, a w nim coś — niby jakaś gloria, złota i oślepiająca, a w niej niby śpiew cichy i przesłodki, jakieś pełne zachwyty „hozanna” — i to wszystko coraz oddalające odeń — coraz odlatające w wyż — ginące i niknące coraz dalej — w miarę tego, jak on tu zapada wciąż niżej i niżej...

Więc do tej dzikiej rozpacz, która rozrywa mu pierś, przyłącza się teraz jakiś żal bez miary, jakaś tęsknota bezmierna i niewypowiedziana — jak gdyby ten oddalający się błękit był jego ojczyzną, którą oto, traci w wieki...

Ohydna i śliska topiel dochodziła mu do ust — i zdało mu się że kona...

Naraz widzi — tuż nad sobą postać dziewczęcą i jasną, widzi rysy urocze i słodkie, a jakieś gdzieś niby znane — więc przypomina sobie — więc poznaje ten czar najdroższej krasy dziewczęcej, umiłowanej na wieki...

I chwycił go naraz lęk straszny, że i ta postać świetlana porzuci go i odejdzie tak samo — jak tamto widzenie.

A ona pochyliła się i wyciągnęła ku niemu dłonie. Zrozumiał wówczas, że przyszła, aby go ratować i zbawić — i z jego zbolalej piersi wybiegł cichy okrzyk, będący zachwytem i modlitwą zarazem wdzięczności.

VIII.

— Święta moja!...

I czuł, że się dźwiga, podnosi, zmartwychwstaje... więc pomyślał, że zapewne zaraz ona uniesie go ze sobą tam — gdzie ów błękit — i owa gloria — i śpiew...

Lecz ona z cichym uśmiechem wskazała mu jeszcze w pierw ręką gdzieś w stronie szmat ziemi kwitnący, obficie przepojony potem uczciwej ludzkiej pracy...

Władysław przebudził się późno, cały spoczony, z mocnym bólem głowy. Ubrawszy się, wyszedł na miasto, zdawało mu się bowiem, że potrzebuje ruchu i świeżego powietrza. Chodził jednak po ulicach niby we śnie, cały jeszcze pod wrażeniem minionego snu, z którego otrząsnąć się nie mógł i zresztą nie pragnął. Potem poszedł na obiad, a potem na lekcję, wracając zaś do domu, przypominał sobie, że jest to właśnie dzień w tygodniu, w którym zwykle otrzymywał list od Zosi. Przy tej myśli serce zabiło mu żywiej i przyspieszył krok.

Lecz pocztę jeszcze nie było i dopiero w godzinę ujrzał listonosza, który doręczył mu list od Zosi. W odpowiedzi na jego list ostatni pisała Zosia, że bardzo zmartwiła się, dowiedziawszy się o jego „knajpowaniu” i o życiu, jakie teraz prowadzi. I rzecz dziwna — pisała, że od pewnego już czasu czuje nieraz niby jakąś bezwiedną trwogę o niego, niby przeczucie jakiegoś niebezpieczeństwa, które mu grozi.

— „Nie krzywdź mnie jednak posądzeniem — pisała dalej — że ja przestanę ciebie kochać...”

Piszę ci te słowa we łzach i bardzo rozżalona tem twojem posądzeniem,—Władku! za kogoż ty mnie masz, że możesz nawet przypuścić, iż mogłabym złamać słowo, dane tobie w dobrej woli i wierze... a przecież to słowo—to świętość i razem uczciwość moja... gdybym go nie dotrzymała, z jakąż bym twarzą spojrziała w oczy świętej matce mojej, z jakiemż oczami stanęła-bym kiedyś przed tobą? O nie krzywdź że mnie tak boleśnie i tak niezasłużenie!... Nie, Władku—ja ciebie kochać nie przestanę, choć byś był gorszy w istocie, niż sądzę,—lecz pamiętaj to tylko, że wówczas miłość kobiety jest zupełną, gdy mężczyzna zasłuży także na jej szacunek... A na mój szacunek zasłużył Władku w zupełności, jeżeli dla miłości naszej wyrzeczysz się wszelkich knajp i złych towarzystw, jeżeli dzielnie oprzesz się i zwyciężysz te wszystkie złe pokusy... Przrzeknij że mi zatem, Władku, że spełnisz tę moją prośbę, a wówczas... ja nauczę się ciebie szanować i kochać jeszcze więcej, widząc, że jesteś prawdziwym mężczyzną, który wychodzi zwycięzko z najtrudniejszej walki, jaką jest walka z samym sobą...

Władysław długo siedział nad temi słowami, podparłszy głowę obu rękoma, nachylony,—aż zwolna pierś mu poczęła się szybko podnosić, jakgdyby ją rozpierał jakiś żal ogromny, i wkońcu wyszeptał z głębokim przejęciem, jak niby wówczas we śnie:

— Święta moja!..

I było to prawdą, albowiem uświęcała mu duszę i wiodła go z mroków życia ku jasności, dobru i pięknu... A jemu zaczęły łzy toczyć się wśród palców i coraz obficie sływać po twarzy—łzy ciche, kojące i dobre, jakich nie powstydzil by się żaden mężczyzna. A wraz z temi łzami sływał mu zwolna ból, nagromadzony w sercu w ciągu miesięcy kilku, sływały zwolna wszystkie męty duszy...

W liście był także przypisek pani Roztrowskiej, taki serdeczny i szczery, tak pokrzepiający go w ciężkich chwilach życia, iż nowa fala wdzięczności napłynęła mu do serca i pomyślał, że i rodzona matka nie zdobyłaby się chyba na cieplejsze słowa.

A jednak nie był to jeszcze kres wszystkich jego trosk i niepokojów. Przyszły jeszcze dnie smutne i ciężkie, w których brak pracy dolegał mu bardziej, niż dawniej. Przychodziły jeszcze długie, monotonne wieczory, w które nieraz brała go pokusa wyjść na miasto, do knajpy, rzucić się w ten wir, który go wabił i nęcił, jak nieraz przepaść wabi i ciągnie na dno stojącego na brzegu człowieka. Lecz wówczas brał do ręki ostatni list od Zosi, odczytywał go z równem, jak poraz pierwszy, przejęciem, przywoływał sobie na pamięć słowo, dane jej listownie, że odtąd nie zajrzy do knajp i opierać się będzie pokusom—i zwyciężał, chociaż te zwycięstwa w istocie bywały na razie bardzo trudne. I chociaż warunki zewnętrzne jego życia zmieniły się mało, choć dotąd nie wyszukał dla siebie stałego zajęcia—wszakże wewnątrz czuł ogromną zmianę, wracającą mu znów świeżość i lekkość duszy, szczerze bowiem rozpoczął moralne swoje odrodzenie. Pokrzepiało go też to i uspokajało ogromnie i z jakąś ufnością patrzył w przyszłość. Miał wrażenie, że tą wewnętrzną pracą na coś zarabia i coś sobie wysługuje moralnie.

W parę tygodni potem, powróciwszy z obiadu, zastał na stole bilet wuja Marcina. Powiedział go, że stoi w Saskim hotelu i że może go zastać dziś wieczorem. Władysław uradował się tem i szczerze i stawił się w oznaczonym czasie. Wuj powitał go serdecznie.

— No, jak się masz, chłopcze? pytał, wypuszczając go ze swych objęć.—Jakże tam praktyka adwokacka? może już będziesz prowadził moje interesy? dodał śmiejąc się.

— Złe, złe jest ze mną—odrzekł Władysław.

— Jak to? co? dlaczego? pytał pan Marcin.

Więc Władysław począł mu opowiadać, że był zmuszony opuścić byłego swego pryncypała i że od kilku miesięcy nie ma stałego zajęcia.

Widać było, że wiadomość ta zmartwiła pana Marcina. Zamyślił się na chwilę, lecz naraz, uderzając się ręką w czoło, zawołał:

— Czekaj-no, czekaj — a czy by mój Żarski nie przyjął ciebie za pomocnika? Powinienby dla mnie to zrobić.

Przrzekł zaraz nazajutrz pomówić o tem z adwokatem, prowadzącym jego interesy.

Zaś Władysław przebył następny dzień w niepokoju, nie śmiejąc cieszyć się naprzód złudną może nadzieją.

Lecz tym razem los mu się uśmiechnął. Adwokat Żarski ofiarował mu chętnie u siebie posadę pomocnika, przytem na tak wygodnych warunkach, o jakich Władysław, na razie przynajmniej, ani śmiał marzyć.

Z podwójnym teraz zapałem zabrał się do pracy i wkrótce zyskał zupełne uznanie swego pryncypała.

Przrzekł mu niezadługo powierzyć parę spraw drobniejszych, co mogło by mu przysporzyć znaczniejsze, niż dotąd dochody.

A tymczasem nadchodziła wiosna, uroczą i kwitnącą, jak nigdy, wczesna i ciepła. Czuć ją było nawet w mieście — w powietrzu, w złotych promieniach słońca, w rozwijających się listkach drzew na skwerach.

Władysław ciągnął coś z nieprzepartą siłą poza miasto, na pola, okrywające się młodą zielenią. Wszakże, mając dosyć pracy, pozwalał sobie na to rzadko, a tem rzadziej od chwili, gdy zaczął prowadzić na swoją rękę pierwszą sprawę, którą mu powierzył adwokat. Śpieszno więc mu było ją ukończyć, aby przed imieniemami Zosi, które przypadały w połowie maja, skorzystać z urlopu i wyrwać się na Podole.

Tymczasem wyniósł się z dawnego pomieszkania, łączyło się z niem bowiem wspomnienie złych i ciężkich miesięcy zimowych. Wynajął dwa jasne, wesołe pokoiki, na co mógł już sobie pozwolić, mając zwiększone w dwójnasób dochody, obstarwił je dość gustownymi meblami, kazał zawiesić u okien białe ażurowe firanki,—nie zapominał nawet o kwiatkach,—lecz, gdy tak ubrał i przystroił mieszkanie, uczuł, że jednak bardzo w niem pusto i samotnie, bo brak jeszcze najmilszego kwiatka, który by napełnił jasnością i szczęściem te pokoiki.

Więc, gdy pędził pociągiem ku stronom rodzinnym, serce kołatało mu w piersi wciąż mocniej i mocniej.

Na stacyi w P. zastał już oczekujące na niego konie i Wasyła w nowym przyodziewku, z szerokim, czerwonym pasem na biodrach. Ujrzawszy panieca, trzasnął gracko z bata i szaraban wytoczył się wkrótce na pola.

A na polach pięknie było i weselnie, jak w maju. Jaskrawo zieleniły się w młodem słońcu zboża, błyszczały kwieciami łąki, a w powietrzu szedł i płynął zapach wiosny, kwiatów i siana. Zaś po nad wszystkim uśmiechał się błękit poranny, świeży, niesplamiony nawet żadną chmurką srebrną.

On zaś widział przed sobą dziwnie wypogodzony życia poranek. Uśmiechało mu się to życie piękne, rozpoczęte z wiarą, owocne, w które warto włożyć cały zasób sił młodych i młodej energii,—z tą pokrzepiającą dla ducha ufnością, że włożony kapitał moralny procentować będzie przez długie lata — najczystsze złotem uczuć, spokoju i szczęścia... Nawet wszelkie brzemie smutku, jakie go może spotkać w tem życiu, czuł się zdolnym dźwignąć z ochotą.

A potem przyszło mu na myśl, że jeżeli wygrał ten wielki los w życiu, jeżeli nie stał się ot takim smutnym rozbitkiem życia—jak Stanisław, albo nie utonął w mętach — jak tyłu innych,—to zawdzięcza nie sobie, ani światu—tylko tej jedynej duszy na ziemi, miłującej i szlachetnej, która zechciała podnieść go i zbawić.

Więc fala nieprzebranej miłości napłynęła mu do serca i tęsknota do ukochanej stała się tak wielką, że począł popędzać Wasyła i wyglądać przed siebie, czy już nie widać wdali wzgórz i Tatr rodzinnych.

Lecz szaraban toczył się jeszcze krajem równym i otwartym, i tylko stronami kędzierzawiły się jasne lasy grabowe i przy drogach gdzieś wiatraki odbijały się w lustrzanej tafli stawów.

KONIEC.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Autorowie układający podręczniki dla młodzieży, szkolne, czy też do prywatnej nauki, mają niezwykle trudności do zwalczania, tyle różnych warunków nasuwa które obowiązują taką książkę, jeśli ma odpowiedzieć celowi, tyle znów pragnęłoby się w jednym dziełku wypowiedzieć, a określony rozmiar zacieśnia szranki. Z regulaminu dla książki szkolnej występują najwybitniej trzy warunki pierwszorzędne z którymi się ona rozminąć nie może, a mianowicie: pełność odpowiedniej treści, metoda podziału podręcznika i wybitny, duchowy kierunek całości. Pod tymi trzema względami rozbierzemy dziś nową książeczkę pań J. Chrząszczewskiej i J. Warnkówny, zatytułowaną: „*Rok czytania, Część wstępna*.” (Warszawa. M. Orgelbrand. 1899, str. 237). Autorki wydały poprzednio dwa tomy „*Roku Czytania*,” jego część I-szą, i II-gą, dla starszej młodzieży, niniejsza zaś książeczka jest niejako przysposobieniem do tamtych. Pod względem doboru i urozmaicenia materiału jest ta część wstępna nieledwie że lepiej ułożona od wyższych seryi Roku czytania; z każdej dziedziny wiedzy spotykamy tu zajmujące ustępy, mały czytelnik zaznajamia się równocześnie stopniowo, z historią rodzimą i powszechną, z naukami przyrodniczymi, literaturą i jej rodzajami wybitnymi w prozie i poezji, i tym sposobem może natrafić na drzemające jeszcze własne upodobania, oraz wchłonąć w głowę spory zasób porządkowych, pożytecznych i ładnych wiadomości. Nawet dziecko o leniwym umyśle i nierozwiniętej wyobraźni zająć się musi książką, która niemal na każdej karcie podaje mu coś nowego, innego, odsłaniając przed jego oczyma nieznane światy życia ludzi i przyrody, a nawet czarodziejski kraj bujnej fantazji, legendy, bajki i baśni. Jak na nieduży tom, treści jest wiele, starannie dobranej. Parę jednak uwag pozwolę sobie uczynić. Brak n. p. zupełny wiadomości biblijnych, czy to czerpanych z pisma św. czy ze świata tak zwykle pełnego wdzięku chrześcijańskiej legendy; brak dalej opisów z dziedziny przemysłu, ciężkiej ludzkiej, warsztatowej pracy, jakiegos obrazka z kuźni, z młyna, z fabryki, z kopalni, gdzieby dzieci ujrzały, że nie tylko pszczoła, mrowka, bóbr i inne mądre zwierzęta móżolą się, trudzą, ale i człowiek biedny, wyrobnik, robotnik, życie swe niesie w głąb szybu czy na szczyt rusztowania i ginie dla kawałka chleba na niewidzialnych prawie usługach dla społeczeństwa. Inne znów ustępy w książce są trochę za krótkie, za skąpe, skoro raz tematu dotknięto. N. p. w takim ustępie jak: „*Św. Wojciech*” skupiono żywot wielkiego Apostoła do dwudziestu wierszy i dlatego nie ma też nawet wzmianki o cudnej jego pieśni „*Bogarodzico Dziewico*,” śpiewanej przez wieki całe i trwającej do dziś jako żywa po nim pamiątka. Takich zanadto skróconych urywków jest więcej. Natomiast może za wiele tych fantastycznych, nieprawdopodobnych opisów o ptakach, drzewach, iskrach, szpilkach, które mówią między sobą niby jak ludzie, dla uprzywilejowania dzieciom swych losów i pożytków. Jest to czasem droga zawodna, bo rzecz jeśli trudniejsza sama w sobie, to się tylko utrudnia sposobem przypowieściowym, tak jak ów duszek „*tłenu*” żyjący w węgielku i rozmawiający z chłopczykiem, nie wiem czy mu ułatwił znajomość ze swą działalnością w przyrodzie. Ustęp pod tytułem: „*Zemsta niedźwiedzi*” przechodzi zupełnie pojęcie dziecka, dla którego książka jest przeznaczoną; ustęp ten wysoce zajmujący dla biologa, zoologa, psychologa, dla każdego umysłu śledzącego w bolesnem naprężeniu tajemniczą linię graniczną między człowiekiem a zwierzęciem, między duchem a pazurami i szerscią, jest zanadto niepokojącym dla głowy dziecinnej, która bez żadnej potrzeby męczyć się będzie

nad ostatniem zdaniem tegoż opowiadania: „Czyżby niedźwiedzice miały pamięć i macierzyńskie serca? Za to, co za wybory jest taki urywec, jak: „Zapusty“ Konopnickiej, w którym gromadka dzieci na wysci- gi, bawiąc się, daje poznać swą znajomość strojów ludowych, albo: „Jak zachować zdro- wie?“ przez d-ra J. lub „Kto jest próżniakiem?“ „Prawdziwie ubogi“ i t. p. wiele.

Pod względem metody, część wstępna Roku czytania ułożoną jest jak i dwie inne części, wedle kolejnego następstwa miesięcy szkolnego kursu. Zaczyna się we Wrześniu, kończy się na Czerwcu. Jest to więc tylko rok *szkolny* czy- tania, a w Lipcu i Sierpniu dzieci zazwyczaj nie czytają; możeby dobrze było, aby dodać te dwa miesiące jako czytanie przez wa- kacje, a treści zebrano by się dużo; prze- cie to podróże, wrażenia, żniwa, owoce, spa- dające sierpniowe gwiazdy, praca ludzka w pełni, urodzaj, wśród którego od wieków so- bie chodzi biedna Rut i zbiera kłosy za wozem dobrobytu. Przyznać trzeba, że każdy miesiąc w książce jest bardzo dobrze opracowany, mia- nowicie wybór, poezji jest zupełnie trafny i do- brze autorki uczyniły trzymając się utworów przeważnie dawniejszych wzorowych. A na- koniec, mistrzów jakiego ducha, jakie świa- tło, jaką dążność, wlewa ta książka w umysł dziecka? Przedewszystkiem, zdaje się, chodzi, o wzbogacenie go wiadomościami, uposażenie młodej głowy w materyał pożyteczny, aby tam próżni nie było, o obudzenie zdolności, „ cieka- wości“ do nauki, wyobraźni; dalej chodzi o este- tyczne wrażenia, o piękne wzruszenia, o szla- chetne obrazy, i ku temu służą opowiadania z życia wielkich mężów i niewiast, świętych lub królów. Tych celów książka dosięga dostatecz- nie. Gdyby jednak dodać tam stron kilka jesz- cze? Gdyby dać bodaj parę przykładów nieustan- nej walki z losem, z niedostatkiem, walki bez sławy, bez tytułów, bez korony lub aureoli, tej walki codziennej, zwyczajnego człowieka, który dla spełnienia obowiązku wyrzeka się sam sie- bie, który się poświęca i ginie, lub ostatecznie dobija zwycięzko swego cichego celu; takich kilka gorących, wymownych przykładów prze- konało by małego czytelnika że niedosyć: wie- dzieć, niedosyć umieć, i niedosyć zachwycać się tem co piękne i wzniosłe, ale trzeba mieć: su- mienie, wolę, siłę, wytrwałość; i jakkolwiek jest na świecie i w życiu, pięknie czy brzydko, łatwo czy ciężko, przyjemnie czy okropnie, jedna jest tylko droga—prosta, jasna i prawa—być sobą, zostać sobą, spełnić swoje przeznaczenie, sławne czy nieznane nikomu, i siłę swoją spotrzebować przez siebie — dla wszystkich. Dzisiaj, gdy wśród bardzo młodego jeszcze pokolenia już się szerzy w zastraszający sposób egoizm i samolu- bna zachowawczość, gdy brak karności, zbyt wygórowane wymagania od życia bez żadnej jeszcze zasługi, podnoszą śmiało głowę, a nerwy i nadezłość, nieraz czynią z niedorostków nie- znośne, chorobliwe okazy, rozleniwione i nieobo- wiązkowe, — każda książka przeznaczona dla młodzieży powinna oprócz specjalnego swego

celu, uderzać błyskawicą w samo złe współcze- sne i bez żadnych z niem układów, wskazywać je, wyrwać i odrzucać. Książki obu powyż- szych autorek, czy to wychodzące jako oryginalne dziełka czy jako zbiorki i podręczniki, za- wsze ku tym celom dążą, ale im dobitniej, im jaskrawiej i goręcej pracą ducha ku dobremu, wewnętrznej wartości ludzką, zasługę sumienia — zechcą zaznaczyć swem piórem, tem stałszą zy- skiwać będą wdzięczność ogółu do tej szczerzej życzliwości z jaką zawsze ich prace witamy.

Szczęśna.

Wystawa prac konkursowych

W SALONIE ARTYSTYCZNYM.

Dużo się mówi i pisze w obecnej chwili o po- trzebie podniesienia poziomu naszej produkcji artystycznej w zastosowaniu do celów praktycz- nych.

Otóż mając zamiar przyczynienia się do roz- winięcia sztuki stosowanej, na gruncie twórczości oryginalnych i samodzielnych studjów, Salon Artystyczny ogłosił konkurs, którego termin upłynął 1-go Października, i obecnie do 15 Listopada r. b. trwać będzie w Salonie tym wystawa prac zakwalifikowanych przez sędziów jako odpowiadających zadaniu.

Konkursy podobne zasługują ze wszechmiar na uznanie, tembardziej że są one u nas no- wością, a przyczynić się mogą wielce do rozwi- nięcia dobrego smaku, i należytego pojmowania doniosłości sztuki stosowanej, rugując powoli, a przynajmniej zmniejszając popyt na wzory zagraniczne.

Nasze panie artystki, które już chlubnie za- znaczyły swoją działalność na tem polu, biorąc udział w konkursie przemysłowym ogłoszonym w Łodzi przez firmy: Heinzel i Kunitzer, gdzie przewaga nagród dostała się kobietom (patrz N. 49 *Bluszczu* z 1898 r.) prawdopodobnie i te- raz są licznie reprezentowane, na obecnej wy- stawie, imiona jednak uczestników i uczestni- czek pozostaną naturalnie tajemnicą do chwili rozstrzygnięcia konkursu.

Zakłady Żyrardowskie ogłosiły w tym samym terminie konkurs na wzór oryginalny do tkac- kich wyrobów (nagr. wynosi rs. 100); i wzór do tkaniny z uwzględnieniem motywów krajowych (nagroda rs. 200)!

Najlepszy wzór ma być wysłany na wysta- wę Paryżką.

Oto są godła prac nadesłanych na oba te kon- kursa zjednoczone na wystawie Artystycznego Salonu:

Wymieniam je w porządku w jakim prace te stopniowo przybywały:

1. Mazowsze.—2. Tusz.—3. Przenoś moją duszę utęsknioną, „Do tych pól malowanych zbo- żem rozmaitem“.—4. Koło.—5. Dwa krzyże.—

6. Limba.—7. Szczerbienice. — 8. Groty. — 9. F. W.—10. Swiach.—11. Sztuka dekora- cyjna.—12. Prawda.—13. Nastrój.—14. Prus.—15. Spóźniony.—16. Trójkąt.—17. Chryzan- tema.—18. Praca.—19. Na przebój.—20. Ja- struń.—21. Lilje.—22. Jesień.—23. Promień.—24. Z naszych pól.—25. „Czyń każdy w swoim kółku co każe duch Boży A całość sama się złoży“.—26. 666.—27. Ojców.—28. W imię Boże! — 29. N. 225.

Każdy z wystawców przysłał po kilka, a na- wet po kilkanaście prac różnych rozmiarów, ogółem zbiór przedstawia się bardzo dodatnio.

Kwiaty będące jednym z najważniejszych składników ozdoby i dekoratywnej sztuki, są tu przedstawione w najrozmaitszym ukła- dzie; widoczna jest dążność do samodzielnej twórczości, poczucie natury, i umiejętne zasto- sowanie poczerpniętych z niej motywów.

Bardzo szczęśliwym był pomysł sądu konkur- sowego, który dał możność publiczności zwie- dzającej wystawę, przyjąć też udział w roztrzy- gnięciu konkursu, każdy bowiem ze zwiedzają- cych ma prawo dania głosu za jednym z utwo- rów, rzucając kartkę, (z napisaniem na niej go- dłem wybranego przez siebie artysty), do przy- gotowanej w tym celu puszeki.

Po obliczeniu głosów, utwór który otrzyma- ich największą ilość, nagrodzonym zostanie w kwocie rs. 100.

Nagród przyznanych przez sąd konkursowy będzie dwie: I sza w ilości 200 rs.—II-ga w ilo- ści 75 rs.—Trzecia jak już wspomnieliśmy wy- żej w ilości rs. 100 będzie nosić miano:

„Od zwiedzającej wystawę publiczności.“

Oprócz tego sąd konkursowy zastrzega sobie prawo przyznania kilku zaszczytnych wzmianek.

Sąd, stanowi delegacja Artystyczna „Salonu“ składająca się z czterech artystów malarzy, dwóch artystów rzeźbiarzy, dwóch budowni- czych, jednego artysty dekoratora, i jednego ar- tysty snycerza.

O wynikach konkursu nie omieszkamy do- nieść we właściwym czasie; tymczasem radzimy obojętnie rozejrzeć się w zebranych materya- łach, gdyż poparcie ogółu będzie stanowić za- chętę do dalszych usiłowań w tym kierunku, tak u nas potrzebnych dla jak najrozleglejsze- go, a samodzielnego rozwoju sztuki krajowej.

Jerzy Orwicz.

SPROSTOWANIE.

W wierszu p. t. *Miraże* w Nr 41 zaszły na- stępujące pomyłki:

W wierszu 1 zamiast mieć lubi powinno być *nieśie tobie*. W wierszu 3 zamiast rajem—powin- no być—*rojen*. W wierszu 6 zamiast sen—po- winno być *one*.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszczu*“ dołącza- się: *Samotna*, powieść przez Werbeck'a. Prze- kład Z. S. Arkusz 12-ty.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycz- nych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincji z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincji z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: Fryderyk Chopin (z portretem).—Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w wieku XIX-ym. Rozdział X.—Na we- rendzie. (Pogawędka), przez ?? — Romanca, przez St. Rossowskiego. — Bez tytułu. Powieść współczesna, przez Stanisława Ostrowskiego (dokończenie).—Przegląd piśmienniczy, przez Szczęśną. — Wystawa prac konkursowych w salonie artystycznym, przez Jerzego Orwicza.

Dodatek obejmuje: *Samotna*, powieść, przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Ark. 12-ty.—Przegląd mód. 29 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozyt obiadu.

Modne garnirowanie stanika: rękawy, pasek i kłamra.

Rycina Nr 3—7 w Bl. Nr 41.

Praktyczny i elegancki garnitur do skromnych staników stanowi gipsurowy kołnierzyk, naszyty w zęby wąską aksamitką, tworzącą na przodzie rozetę w stylu Ludwika XV, z której spada kilka długich końców, w pasie druga rozeta ze spadającymi końcami. Moda wąskich rękawów daje najrozmaitsze ogarniowania tychże.

Do jedwabnych i wełnianych sukien stosowny rękaw przedstawia rycina Nr 4, przy rękę wycięty w ząb, naszyty dwa razy aksamitką z dzętołą ozdobą, u góry rękaw też ogarniowany aksamitką z dzętołą ozdobą w pośrodku.

Do kostymów angielskich odpowiedni rękaw przedstawiony na rycinie Nr 5, u góry przy ramieniu jest ozdobiony przestębnowaną patką, ogarniowaną aksamitką i guziczkami, w ten sam sposób przybrano rękaw przy rękę, wycię-

ty okrągło i oszyty dwa razy falbanką z „taffetas.”

Ryciny Nr 6 i 7, przedstawiają pasek z aksamitu czarnego z brązową kłamrą i agrałką do przypinania z tyłu sukni.

Neserer do robótek w guście angielskim.

Rycina Nr 18 w Bl. Nr 41. (Wzór pierw. str. tabl. fig. 62).

Ozdobny neserer do robótek lekkością formy i gustownem udrapowaniem materyi, bardzo



Nr 1 i 2. Ubranie i płaszczyk dla chłopców od 2—3 lat.
Nr 4. Sukienka dla dziewczynki od 11—12 lat.

Nr 5. Sukienka dla dziewczynki od 14—15 lat.

Nr 3. Sukienka dla dziewczynki od 12—13 lat.
Nr 6. Ubranie i pelerynka dla chłopca od 12—13 lat.

zdobi modny damski buduar. Podstawa z brunatnego drzewa składa się z czterech 105 cent. długich i 2 cent. szer. sztabików, z których dwa z każdej strony u góry krzyżują się i złączone są 13 cent. dług. sztabikiem, u dołu 28 cent. dł. Od górnego sztabiku udrapowana jest materya zielonawego koloru, na której haftuje się podany deseń kolorowym jedwabiem płaskim ścięciem. W środku umocowane kartonowe pudełko, wybite różową, udrapowaną materyą; kokardy ze wstążki po czterech rogach i obszyte ze złotego sznura dopełniają całości.

Frendzla do obszycia damskiej garderoby.

Rycina Nr 21 w Bl. Nr 41.

Rycina przedstawia tak ulubione teraz ząbki, które się robią z czarnego, jedwabnego kordonku i używają do obszycia rozmaitych części damskiej garderoby. Każdy ząbek tworzy 20 frendzelków, środkowy 50 cent. długi, następne w miarę o 4 cent. dłuższe.

Ubranko i płaszcz dla chłopczyków od 2—3 lat.

Rycina Nr 1 i 2.

Rycina Nr 1, przedstawia śliczne ubranko z ciemno-niebieskiego welwetu. Z przodu i z tyłu układane jest w kontrafaldy i przepasane białym, skórzanym paskiem. Przy zapięciu z przodu ozdobione jest drobnutko układaną, jedwabną, białą falbaneczką, toż samo przy jedwabnym, białym, wykładanym kołnierzyku i mankietkach. Płaszcz z ponsowego sukna przedstawia ryc. Nr 2, z tyłu ma kontrafaldę, z boku kryto zapinany, ma duży kołnierz wykładany, tworzący wyłogi, dochodzące do paska. Kołnierz ten, kamizelka, stojący kołnierz i mankietki bluzkowych rękawów, są ogarniowane gipiurą czarną i oszyte taśmą. Jasny pasek skórzany i kapelusik filcowy, dopełniają całości.



Nr 7. Suknia wizytowa z haftem.

Sukienka dla panienki od 12—13 lat.

Rycina Nr 3.

Wełna w niebieskie i zielone kraty jest stosowna na taką sukienkę. Spódniczka gładka, na dole oszyta dwa razy wąską, niebieską aksamitką, tak samo staniczek, imitujący bolero. Bluzkową formą staniczek ma kamizelkę z białego kaszmiru, układaną w drobnutkie pliseczki, kołnierz z tyłu zaokrąglony, z przodu tworzący wyłogi z niebieskiej materyi, pokrytej gipiurą. Kołnierzyk stojący z jedwabnej wstążki zdobi z przodu kokarda, poniżej druga. Pasek ze wstążki, zapięty z przodu na klamerkę z imitacji srebra.

Sukienka dla dziewczynki od 11—12 lat.

Rycina Nr 4.

Na tę elegancką sukieneczkę bardzo jest odpowiednią jasno-zielona wełna, ciemniejszy aksamit i kremowa gipiura. Spódniczka ogarniowana gipiurą i dwa razy pliseczkami — imituje tiunikę. Staniczek bluzkowy, cały układany w drobne zakładeczki, przód z aksamitu, ozdobiony trzema patkami gipiurowymi. U góry trzy większe zakładki tworzą karczek, ogarniowany gipiurą, toż samo przy rękawach w rodzaju epoletek. Pasek z aksamitu układanego w faldki.

Sukienka dla pań od 14—15 lat.

Rycina Nr 5.

Bardzo szykownie jako kostyum do ślizgawki wygląda sukienka z ciemno-popielatego sukna. Spódniczka naszyta w formie zębów 3 cent. sz. stębnowanymi pliskami. Staniczek też u brzegu naszyty w zęby 6 cent. szerok. pliskami, dalej w ukośne pasy ozdobiony jest guzikami z perłowej masy, przy rękawach epoletki z plisek. Kołnierzyk i kamizelka są z białego sukna, z tiulową kokardą na przodzie. Wyłogi staniczka są pokryte gipiurą.

Ubranie i peleryna dla chłopca od 12—13 lat.

Rycina Nr 6.

Ubranko to zrobione jest z popielatego, wełnianego materyału w paski i składa się ze spodenek, kamizelki i żakieciku. Krawatka w kratki i pasek skórzany, dopełniają całości ubranka tego, do którego należy jeszcze peleryna z ciemno-niebieskiej, angielskiej wełny, z wykładanym kołnierzem i kapiszonem i filcowy kapelusz.



Nr 11. Suknia wizytowa z peleryną.



Nr 8—10. Modne zimowe kapelusze.



Nr 14. Suknia jesienna z przybraniem z aksamitek.

Ubranie wizytowe z haftem.

Rycina Nr 7.

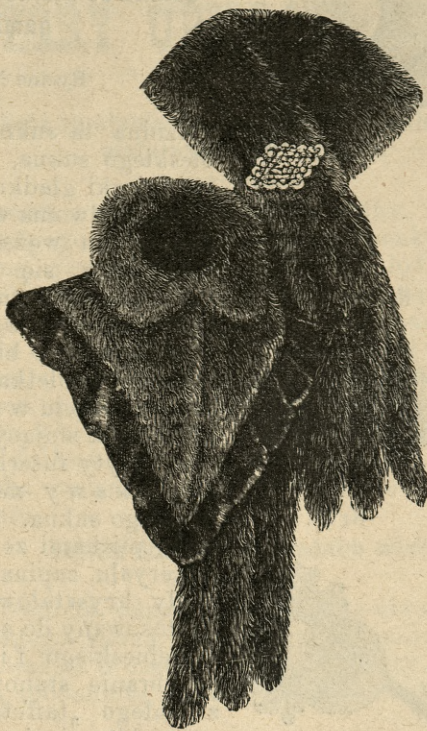
Strojne to i eleganckie ubranie z białej „crêpe de chine,” ze lśniącem jedwabiem „orange,” ozdobione haftem i jedwabną frendzlą. Na wyciętą z tyłu w formie trenu prostą, spodnią spódniczkę, spada z tyłu zapinana wierzchnia suknia, która u dołu ozdobiona jest w rodzaju falbany jedwabnym haftem i frendzlą. Rękawki pół-krótkie, oszyte falbanką, spinają guziki ze strasu, na wierzchu rękawa siatka z podłożonym, lśniącem aksamitem. Bardzo oryginalnie wygląda ogarniowanie staniczka u góry siatką z frendzlą jedwabną. Bogatego stroju dopełnia garnitur z pereł na szyję i łańcuszek z pereł.

Modne zimowe kapelusze.

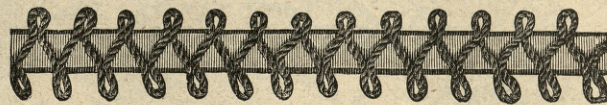
Rycina Nr 8—10.

Wielką różnorodność kapeluszy przedstawiają nasze ryciny, z których ryc. Nr 8 przedstawia duży kapelusz z ciemno-brązowego, jedwabnego filcu. Wysooko z przodu podniesione rondko, ozdobione jest węzłem z matowo-niebieskich aksamitek z brązową agrafką. Długie strusie pióra ciemnego koloru zdobią kapelusz.

Wielką nowością odznacza się kapelusz z szaro-zielonego aksamitu, którego główka układana jest w riuszki i rondko obciągnięte aksamitem, falisto powyginane, na brzegu też ogarniowane riuszką. Suta rozeta z wązkie, czarnych aksamitek, podszytych drucikiem, zdobi ten



Nr 12 i 13. Modne kołnierze futrzane.



Nr 16 i 17. Oszycia do sukien.



Nr 15. Suknia ze staniczkiem z wyłogami.



Nr 18. Kostium spacerowy, przybrany futerkiem. Nr 19. Suknia z przybraniem z plisek.

kapelusik, który na przodzie zawiązuje się na aksamitki.

Ryc. Nr 10 przedstawia toczek obciągnięty falisto ponsowym aksamitem, na przodzie 2 pęki parmskich fiołków zdobią kapelusik, z poza których wychodzą czarne i lila cieniowane pióra.

Ubranie z polonezą.

Rycina Nr 11.

Aksamit „violet,” gaza i jedwabna pasmanteria, składają tę śliczną i strojną tualę. Poloneza z aksamitu lila, z przodu i z tyłu w ząb wycięta, zapina się kryto z boku i ogarniowana jest jedwabną pasmanterią. U dołu widoczna jest falbana z plisowanej gazy, głębokie wycięcie u szyi i rękawy zdobi też pasmanteria, która na przodzie ku stanowi spada wązkim pasem. Podłożona kamizelka z gazy, układanej w drobne zakładeczki, rękawki z falbanką z gazy i z tego samego materiału stojący kołnierzyk.

Modne futrzane kołnierze.

Rycina Nr 12 i 13.

Krótki, jasnym futerkiem podbity futrzany kołnierz, wierzchołek ze skunksów, z tyłu i z przodu jest wycięty w szpic, naokoło naszyty w rodzaju falbany futerkiem, zapina się na haftki i koniki.

Nowy rodzaj kołnierzyka przedstawia rycina Nr 13, składa się z kilku oddzielnych ogonków skunksów, które się spina czworokątną agrafką stalową.



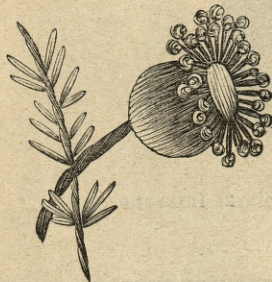
Nr 25.

Nr 21.
Nr 20—25. Części haftu do rycin
Nr 25 i 29.

Nr 23.



Nr 22.



Nr 20.



Nr 24.

Ubranie jesienne z aksamitkami.

Rycina Nr 14.

Ładna forma, mocny, wełniany szewiot koloru ciemno-ponsowego i przybranie aksamitkami, czynią tę tualę stosowną na jesienną porę. Wierzchnia spódniczka wycięta w głębokie zęby, naszyte trzy razy aksamitką, ma na przodzie dwie fałdy rozszerzające się ku dołowi; spodnia spódniczka ma na dole podłożony materiał trzy razy przestębnowany według formy zębów u wierzchniej spódniczki. Przy staniczku dwie kontrafałdy, ozdobione srebrnymi guziczkami, tworzą rodzaj szelek dużych z przodu i z tyłu do stanu, pasek ozdobiony guziczkami. Cały staniczek naszyty jest aksamitkami, toż samo wstawiona kamizelczka z białego sukna i stojący kołnierzyk. Od szelek u góry wąskich rękawów są epoletki, naszyte aksamitkami. Rękawy przy rękę w formie kielicha, naszyte też aksamitkami. Czarny, kastorowy kapelusz dopełnia całości tego ładnego ubrania.



Nr 26. Serweta na stół do ryciny Nr 29.



Nr 29. Serweta do przykrycia stołu do kawy, lub do herbaty.

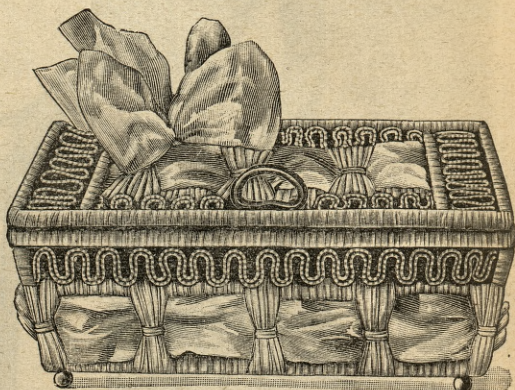
Suknia ze staniczkiem z wyłogami.

Rycina Nr 15.

Ładna ta suknia jest z niebieskiego sukna, składa się ze spódniczki gładkiej, przybranej z przodu dwoma wyłogami, które u stanu węższe, ku dołowi rozszerzają się, ozdobione są kryształowymi guzikami i naokoło przestębnowane. Staniczek z wyłogami z białego sukna i takiemż epoletkami, ma kamizelkę z przodu w szpic wyciętą, kołnierzyk stojący z białego sukna, oszty futerką, przy rękę rękawy mają też wyłogi z białego sukna. Staniczek, naszyty pliskami ze stębnowanego materiału, zapinany jest na dwa rzędy kryształowych guzików. Zastosowany do sukni kapelusz z niebieskiego filcu, którego przybranie stanowią rozety z białego „taffetas”, niebieska sznelka i cieniowane strusie pióra.



Nr 27. Koszycek do robótek.



Nr 28. Zamknięty koszycek do robótek do ryc Nr 27.

Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

polecą jak zwykle na sezon jesienny i zimowy:

Flanele, Barchany, Materiały puchowe, Kołdry watawane, flanelowe i pluszowe. Wyroby pończosnicze, Płótna, Ręczniki, Chustki i Stołową bieliznę letniego bielenia.

Materiały meblowe, Dywany, Portyery, Firanki.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Gotowa bielizna
damska i męska.Gotowa bielizna
damska i męska.